

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

13

Domyśliłem się odrazu, że to dzieło moich rąk; musiałem rzucić w szczylinę żarzącą się jeszcze zapalną. Zatrzymałem się więc i spoglądałem w milczeniu na ogień. Płomienie podnosiły się coraz wyżej i łuna stawała się coraz większą. Tak przejałem się tym widokiem, że byłbym zapomniawszy zupełnie o pani Belden, gdyby głębokie westchnienie nie przypomniało mi o jej istnieniu. Podszedłem bliżej i usłyszałem, jak szeptała sama do siebie:

— Boże mój, ja tego nie chciałam!

Potem dodała z pewną ulgą:

— Ale teraz przynajmniej wszystko będzie dobrze, Mary będzie szczęśliwa i nikt nikogo nie będzie winił.

Niczego więcej nie chciałem wiedzieć; odsunąłem się więc od niej i skierowałem się ku miastu, skąd już biegli ludzie do pożaru.

Po powrocie do domu uważałem za swój obowiązek sprawdzić, czy przypadkiem żebraczka nie skorzystała z naszej nieobecności i nie okradła mieszkanka, obawy te jednak były zbyteczne. Potem udałem się do swego pokoju i obejrzałem uważnie pudelko. Było zamknięte i tak lekkie, iż myśleć nawet nie można było, by zawierało coś więcej oprócz dokumentów, o których wspominała pani Belden. Schowałem je pod poduszkę i udałem się do jadalnego pokoju.

Nie zdążyłem jeszcze usiąść i wziąć do ręki książki, gdy weszła gospodyni.

— Co za noc! — zawołała, zdejmując kapelusz i szal. Twarz jej, chociaż zaczerwieniona z pośpiechu, miała jednak zadowolony i spokojny wyraz. — Na niebie ciągle błyskawice — mówiła dalej — musiało się więc od nich co zapalić. Spodziewam się jednak, że pan nie nudził się tu sam. Wysłałam za interesem, nie przypuszczałam jednak, że zatrzymają mnie tak długo.

Odpowiedziałem jej coś, lecz nie pamiętam co właściwie, potem wyszła znowu z pokoju, by pozamykać wszędzie drzwi. Długo czekałem na nią, lecz widocznie udała się już do siebie, zostawiając mnie w spokoju. Miałem już dosyć wrażeń na ten dzień, postanowiłem więc odłożyć wszystko do jutra. Gdy tylko burza ucichła, położyłem się zaraz do łóżka i wkrótce zasnąłem głęboko.

— Mister Rymond!

Głos, wymawiający te słowa, był cichy, lecz tak dobitny, iż obudziłem się zaraz i rozglądałem się do koła. Świtało już i w drzwiach, wiodących do jadalnego pokoju, ujrzałem żebraczkę, której wieczorem dano z litości nocleg. Zdziwiony i rozgniewany tak niespodzianym pojawieniem się jej, zamierzałem już wypędzić ją, gdy nagle wyjęła czerwoną chustkę i domyśliłem się odrazu, że przedemną stoi „Czuły węch“.

— Niech pan to przeczyta — rzekł agent, podchodząc do mnie i wsuwając mi do ręki arkusz papieru, poczem obrócił się szybko i znikł z pokoju.

Zerwałem się z łóżka i podbiegłem do okna; przy blasku wschodzącego słońca przeczytałem następujące słowa:

„Jest tutaj, widziałem ją; znajduje się w pokoju, zaznaczonym czerwonym krzyżykiem na dołączonym planie. Niech pan poczeka do ósmej rano i wtedy pójdzie na górę; postaram się jakimś podstępem usunąć na ten czas z domu panią Belden“.

Dżen według dodanego planu znajdowała się na górze, tuż nad stołowym pokojem i nie myliłem się wczoraj, gdy mi się zdawało, że słyszałem nad sobą lekkie kroki. Z sercem więc pełnem ulgi ale zarazem i podnieconem tem, że ujrzę wreszcie tę dziewczynę, wtajemniczoną zapewne w morderstwo, położyłem się znowu do łóżka, by odpocząć jeszcze z godzinę. Nie mogłem jednak już zasnąć. Rozmyślałem więc nad przeżytymi wczoraj wrażeniami, słuchając dochodzących mnie odgłosów kroków ludzi, zdążających do pracy. Wkrótce potem usłyszałem, jak i pani Belden schodzi ostrożnie na dół po schodach. Mimowolny krzyk zdziwienia, jaki wyrwał się jej po wejściu do kuchni i przekonaniu się, że żebraczka zniknęła, zostawiając otwarte po sobie drzwi, dał mi powód do zastanowienia się, czy dobrze uczynił agent, iż odszedł, nie pożegnawszy się nawet z gospodynią.

Widocznie jednak poznał on dobrze charakter pani Belden, słyszałem bowiem, jak nakrywając stół w jadalnym pokoju, mówiła do siebie z przyzwyczajenia widocznie dość głośno: „Biedaczka, tak przywykła do spania pod otwartym niebem, iż nawet jednej nocy nie mogła spędzić pod dachem“.

Przy śniadaniu tak byłem wzruszony, iż nie byłem w stanie cośkolwiek przełknąć. Skończyło się jednak i to nudne siedzenie i znowu znalazłem się w swym pokoju. Czas wydawał mi się nieskończenie długim. Naraz, właśnie gdy zegar wybijał ósmą godzinę, rozwarły się raptownie drzwi do kuchni i wbiegł jakiś mały chłopiec, wołając:

— Ojciec ma atak, niech pani zaraz przyjdzie!

Wstałem w tej chwili i wszedłem do kuchni. Gospodyni szykowała się już do wyjścia.

— Zachorował nagle biedny drwał, który mieszka na końcu tej ulicy — rzekła mi — muszę tam iść. Niech pan będzie tak dobry i przypilnuje domu.

I nie czekając na odpowiedź, ani nie mówiąc nic więcej, okryła głowę chustką i wybiegła za chłopcem, który był już na ulicy. W pokoju nastała taka martwa cisza, iż było mi nieco nieprzyjemnie. Minęło kilka minut, zanim ośwładałem sobą na tyle, iż mogłem wejść na schody. Otworzyłem pierwsze z brzegu drzwi i znalazłem się w sypialni, w której zapewne pani Belden spędziła noc; następnie skierowałem się do pokoju, oznaczonego na planie krzyżykiem. Był to małeńki pokój, dobudowany prawdopodobnie później.

Stałem i zacząłem nadsłuchiwać — wszędzie było cicho, nacisnąłem klamkę i chciałem otworzyć drzwi, były one jednak zamknięte. Przyłożyłem ucho do dziurki w zamku, lecz w pokoju panowała grobowa cisza. Zaskoczyło mnie to niespodzianie, byłem niezdeterminowany, nie wiedziałem bowiem, co czynić. Przypominałem sobie jednak, że na planie były narysowane jeszcze drugie drzwi, wiodące z korytarza do tego samego pokoju. Skierowałem się więc natychmiast ku nim, lecz i te były zamknięte. Trzeba było działać siłą; podniosłem głos i kazałem dziewczynie otworzyć. Gdy na rozkaz mój nie dostałem żadnej odpowiedzi, powiedziałem stanowczo:

— Dżen, twój pobyt tu jest znany. Jeśli nie otworzysz nam w tej chwili, wyłamiemy drzwi. Uwolnij nas od tej przykłej konieczności i otwórz sama.

Znowu żadnej odpowiedzi.

Odstąpiłem na krok i nagle z całej siły pchnąłem drzwi; zatrzeszczały pod uderzeniem, lecz się nie poddały. Poczekąłem chwilę, by przekonać się, czy się nie odezwie ktoś z wewnątrz, potem nacisnąłem jeszcze silniej drzwi i tym razem już z powodzeniem; drzwi się otworzyły i ja prawie że wpadłem do komórki, w której było tak zimno i ciemno, iż z początku nic nie widziałem. W chwilę potem ujrzałem na pościeli łóżka przy przeciwnej ścianie młodą dziewczynę z ładną, lecz strasznie nieruchomą twarzą. Na widok tej spokojnej postaci, leżącej pod kołdrą i wydającej się raczej rzeźbą z marmuru, niż żywym stworzeniem, zapytałem się mimowoli, czy sen może być tak podobny do śmierci. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że ona spała; dokoła leżało rozrzucone jej ubranie i bieleńca, tak jak je zrzuciła z siebie wczoraj wieczorem, na krześle koło drzwi stała taca z przyborami do herbaty, jednym słowem wszystko w tym pokoju świadczyło o żyjącej tu osobie.

Twarz jej jednak była tak biała i nieruchoma, na pół przykryta oczy miały tak szklany i zastygły wyraz, obnażona ręka tak ciężko leżała na kołdrze, iż nie miałem odwagi dotknąć się tej, jak trup spoczywającej w pościeli dziewczyny. A jednak winielem był to uczynić, ponieważ nie odzywała się wcale na me wezwania; pohamowałem więc swój wstręt i wziąłem ją za rękę, lecz natychmiast puściłem ją przerażony; była ona nie tylko zimna jak lód, lecz zupełnie sztywna jak u trupa.

Cofnąłem się w tył i jeszcze raz przyjrzałem się tej zastygłej postaci. Czyżby rzeczywiście tylko spała? Nachyliłem się nad jej ustami — nawet śladu w nich nie było najłżejszego oddechu! Drżąc z przerażenia, przyłożyłem rękę do jej serca — było ono bez ruchu.

O ile pamiętam, nie myślałem nawet w pierwszej chwili o wzywaniu obcej pomocy. Stałem tylko i patrzyłem na tę spokojną, uśmiechniętą twarz, która zdawała się mówić, że śmierć nie jest tak straszna, jak ją zazwyczaj przedstawiają. Myślałem o tem, iż los zamiast pomódz nam, zsyła nowe trudności; zamiast spodziewanego zadowolenia dał nam jeszcze jeden zawód.

Im dłużej wpatrywałem się w tę twarz, tem

większe budził we mnie zdziwienie, malujący się na niej wyraz jakiejś radości. Podszedłem ku niej i zacząłem rozmyślać, czy niema jakiego sposobu ocucenia jej i przywrócenia do życia. Przypatrzywszy się jej jednak uważniej, przekonałem się, iż musiała umrzeć już przed kilku godzinami. Teraz dopiero zacząłem działać. Wychyliłem się z okna sąsiedniego pokoju i wywiesiłem z niego czerwoną chustkę, którą na szczęście zabrałem z sobą. W tej samej chwili jakiś młody człowiek, którego, zdawało mi się, wcale nie znałem, lecz który nie mógł być nikim innym, jak tylko „Czułym węchem“, zbliżył się do domu i podchodził już do drzwi, przy których oczekiwałem go.

— Jak stoją sprawy? — spytał szeptem, wchodząc do domu — widział ją pan?

— Owszem — odpowiedziałem z goryczą — ma się rozumieć, że ją widziałem.

— I przyznała się do wszystkiego? — zapytał pospiesznie.

— Nie rozmawiałem z nią — odrzekłem i wprowadziłem go do pokoju pani Belden. — Mówił mi pan, żeś widział tę dziewczynę: czy był pan w jej pokoju?

— Nie, widziałem ją tylko przez okno; gdy zauważyłem w nim światło, wdrapałem się na dach werandy i stamtąd zajrzałem do jej komórki. Chodziła po niej od jednego rogu do drugiego. Lecz o co chodzi? — mówił dalej — ma pan jakiś dziwny wygląd. Co się stało?

Nie mogłem już dłużej milczeć.

— Niech pan idzie za mną — rzekłem — i przyjrzy się sam. Zaprowadziłem go do pokoiku, w którym byłem przed chwilą i wskazałem mu na łóżko. Napisał mi pan, że znajdzie tutaj Dżen, nie uprzedził mnie pan jednak, w jakim znajdzie ją stanie.

— Boże mój! — zawołał, drżąc całym. — Przecież ona nie umarła!

— Nie żyje — odparłem bezdźwięcznie.

Zdawało się, iż nie może zrozumieć tego, co mówię.

— Lecz to jest niemożliwe — wołał przerażony — przyjęła zapewne jakiś narkotyczny środek i śpi głębokim snem!

— Z tego snu nikt się nie budzi. Niech pan spojrzysz — przy słowach tych wziąłem jej rękę i pokazałem mu, jak opadła bezwładnie na kołdrę.

To widocznie przekonało go ostatecznie; obrócił się w milczeniu, nachylił i podniósł leżące na podłodze ubranie.

— Co pan robi? — zapytałem go. — Czego pan w niem szuka?

— Szukam niewielkiego papierowego pakietiku, który widziałem, jak wyjmowała wczoraj z kieszeni. Myślałem, że jest to jakie lekarstwo. Oto ono — i mówiąc to, podniósł z podłogi niewielką papierową kopertę i podał mi ją.

Obejrzałem ją i przekonałem się, że na wewnętrznej jej stronie zachowały się jeszcze ślady jakiegoś proszku.

— Lecz to jest niezwykle ważny dowód — zawołałem. — Jeżeli po zbadaniu okaże się, że jest to trucizna, będziemy wiedzieli, czem mianowicie otruła się ta nieszczęśliwa dziewczyna. Że jest to samobójstwo, nie może być co do tego najmniejszej wątpliwości.

— Nie można być tak bardzo tego pewnym — odpowiedział agent. — Jeżeli weźmiemy wszystko dobrze pod uwagę, to można dojść do wniosku, iż ta nieszczęśliwa była tak daleko od myśli o samobójstwie, jak i ja. Była ona bardzo wesoła i zadowolona i gdy rozkładała ten złowieszczy papier, widać było na jej twarzy nawet tryumfujący uśmiech. A jeżeli pani Belden naprzykład dała jej ten proszek i powiedziała, że jest to lekarstwo?

— Należy to przedtem zbadać dobrze, gdyż jeszcze nie jesteśmy zupełnie pewni, czy była to trucizna. Bardzo być może, iż Dżen zmarła na paraliż serca.

Wzruszył w milczeniu ramionami i naprzód pokazał palcem tacę z przyborami do herbaty, a potem wyłamane przezemnie drzwi.

— Tak — rzekłem w odpowiedzi na jego wejście — pani Belden była tutaj dzisiaj rano i zamknęła za sobą drzwi, dowodzi to jednak tylko tego, iż uważała tę dziewczynę za zupełnie zdrową.

— Nawet gdy zobaczyła tę bez życia bladą twarz na poduszce?

— Bardzo możliwe, iż nie popatrzyła nawet na Dżen, a tylko postawiła na krześle tacę.

— Nie chcę na nikogo rzucić podejrzeń, jest to jednak bardzo dziwny wypadek.

— Narazie winniśmy zaniechać wogóle wszelkich hipotez — rzekłem — przedewszystkiem trze-